Tom XIII. Nr. 12.

21. października 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.





DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kościuszko w Liplesie.

Będzie to już temu spory kawał czasu, kiedy to za różnemi interesami przejeżdżałem przez obwód bocheński. Owoż wypadła mi droga przez wieś jedną, co się zwie Liplas. Wieś ta leży nad samą Wisłą, ma zacnych i zamożnych kmieci — ale co najciekawszego widziałem w Liplesie, to dużą mogiłę, usypaną przy siole i ogrodzoną do koła porządnie.

A że to ja jestem już z natury taki ciekawy, że radbym wiedzieć o wszystkich takich mogiłach, zwaliskach i okopach, bo to one zazwyczaj z dawności pochodzą i zawsze o nich jakąś piękną gadkę między ludźmi można zasłyszeć — więc też zatrzymałem się we wsi i nuż się dopytywać, zkąd się to w Liplesie wzięła ta mogiła i co to o niej tamtejsi ludzie prawią. Spytałem się więc jednego i drugiego kmiecia, a ci mi radzili pójść do samego wójta, bo choć to i oni wiedzą o tej mogile, ale wójt to już zna o niej historję najlepiej i jako człek rozumny na rozum rozpowiedzieć ją umie.

Był więc jeden gospodarz taki łaskaw, że mnie zaprowadził do wójta, który na moje powitanie serdecznie i gościnnie mi odpowiedział i siadać zaprosił.

— Przepraszam was panie wójcie — odezwałem się pierwszy — że ja nieznajomy nachodzę was w chacie, ale raczcie to wybaczyć po staropolskiej gościnności.

— O mój panie kochany — prawi na to wójt — toć rad wam jestem z całego serca. Toćto nasze staropolskie przysłowie mówi: »gość w dom Bóg w dom,« a lichy by to był Polak i gospodarz, coby podróżnemu języka i gościny pożałował.

— Pięknie gadacie, panie wójcie — mówię ja na to — i widać, że z was polskie serce żywcem przemawia, toć też pewnie opowiecie mi historję o tej dużej mogile przy wsi, bom ją rad bardzo wiedzieć.

— Z całej duszy — miły panie — mówi wójt na to — już to wy panowie z miasta macie taką ciekawość, a godzi się przecież udzielić tego drugiemu, co człek sam wie. Oj już ja sam nie pierwszemu i nie dziesiątemu musiałem rozpowiadać tę historję.

— Bo też i widzicie moiściewy — mówię ja znowu — historje o takich starych pamiątkach to są zawsze bardzo piękne i pouczające, a my je kochać powinni, bo one pochodzą zazwyczaj z naszej dawności, kiedy to Polska, nasza ojczyzna miła, była w dobrej doli i wolności... Ale otóż zabieram wam czas, więc też lepiej zacznijcie opowiadać, jeżeli łaska.

Wójt podumał trochę, potarł ręką po czole a poten zaczął opowiadać:

— Dawne to już czasy i ja już tej historji nie zapamiętam. Ale mój dziaduś pamiętał ją jakby wczoraj się stało, bo był wtenczas gospodarzem, a mój ojciec także dobrze wiedział o tem, bo już wówczas, kiedy tę mogiłę sypano, był dużym dorostkiem i sam ją sypać pomagał.

— To ta mogiła z nie tak bardzo dawna pochodzić musi? odezwałem się na to.

— I z dawna i z niedawna — odpowiada wójt na to — bo z czasów pana naczelnika Kościuszki...

— Kościuszki! — zawołałem i wstanąłem z ławy z poszanowaniem, bo kto imię tego sławnego Polaka i obrońcy ojczyzny wymawia, powinien czynić to z czcią i poważaniem wielkiem, boć to święte imię dla Polaka.

— Tak, miły panie, — prawił wójt dalej — z czasów pana naczelnika Kościuszki, Panie świeć nad jego wielką duszą, boć to choć go człek już sam nie widział, ale tyle o tym naczelniku polskim i wodzu nasłuchał się gadek pięknych, że już samo imię lgnie do serca... Był to snać wielki człowiek i bardzo dzielny Polak, kiedy tak dzielnie bił się za Polskę i tak tęgo kropił Moskali, a choć był naczelnikiem całego narodu polskiego, to nie pogardzał prostaczkami, jeno sam w sukmanie chodził i ich kochał i na Moskalów prowadził!

— Święte słowa mówicie — rzekłem na to do wójta i łza mi w oczach stanęła, bo tak mię za serce schwytała wspominka naszego Kościuszki, a po chwili pytam dalej: — No i jakże to powstała ta mogiła?

— Oto słuchajcie — prawi wójt — mówię tak, jak sam słyszałem, a prawda to musi być święta, bo wszyscy starzy ludzie na to by przysiądz byli gotowi. Kiedy to w naszej ojczyźnie kiepskie nastały czasy, i król Poniatowski kiedy baba jaka stara nie miał za grosz ani honoru ani odwagi, a Moskal szelma gospodarował w Warszawie jak na własnem mieniu — nie widzieli innej rady Polacy, jeno przywołać do kraju pana Kościuszkę, co był wówczas gdzieś w dalekich stronach za granicą, aby wrócił do ojczyzny i wypędził to moskiewskie hultajstwo z naszej polskiej ziemi.

Mnie na to opowiadanie bardzo miło się zrobiło, bo to zawsze pięknie jest, gdy kmieć polski umie co opowiedzieć o swej ojczyźnie i wie jak w niej bywało. Słucham więc dalej z wielką uwagą, a wójt tak opowiada:

— Otóż wysłali pisanie do Kościuszki, a on że zawsze lubił nad życie Polskę i aby bić jej wrogów, to był na to jak na lato, zaraz się zebrał i coprędzej zjechał do Polski. Jechał zaś wprost do samego Krakowa, aby tu zebrać wiarę na Moskala. Ale jakoś się stało, a już tego nie umieli rozpowiedzieć ani mój śp. dziaduś ani tatuś, że nasz pan naczelnik Kościuszko trafił na jakąś zdradę i musiał się na jakie parę tygodni schować dobrze i zaczaić przed nieprzyjacielem. Owoż kiedy się trzeba było przechować jakiś czas w ukryciu, więc pan Kościuszko pomyślał sobie:

— Toć gdzie mam przeczekać i gdzie będę bezpieczniejszym, jak nie między ludkiem polskim, co mnie tak kocha serdecznie! Oto nie będę ukrywać się po miastach i pałacach ale pod strzechą chłopską, bo mnie tam tak prędko nie wytropią źli ludzie, a choćby i wytropili, to mnie kmiecie nie dadzą!...

I jak pomyślał tak zrobił — a szczęśliwym trafem wybrał sobie za schowek nasze sioło. Żył tu bowiem pod owe czasy sołtys, człowiek przezacny, Polak duszą i ciałem, który byłby za panem Kościuszką skoczył choćby w piekło gorejące.

Ja aż zaparłem oddech w sobie, taka mnie zdjęła ciekawość na tę śliczną powieść, a wójt westchnąwszy prawił dalej:

— Otoż widzicie do tego sołtysa zajechał potajemnie pan Kościuszko i rozgościł się w jego chacie i mieszkał u niego przez kilka tygodni i czekał nowin z Krakowa, kiedy najlepiej będzie ogłosić wojnę z Moskalami. Rozeszło się to po gromadzie i wszyscy okrutnie się rozradowali, że pan Kościuszko między nimi, i zaraz też porozstawiali wszędzie warty i dzień i noc strzegli jak oka w głowie polskiego naczelnika. Tymczasem pan Kościuszko rozpowiadał im niedolę polską i tłumaczył, jak to ojczyznę ratować potrzeba z bronią w ręku i wypędzić z niej przebrzydłego Moskala! Przez cały dzień pan naczelnik Kościuszko coś pisał i czytał, jakieś papiery przeglądał i dziwne figury ołówkiem malował. A zaś co rana, ledwie Boża jutrzenka zaświtała na niebie, wychodził Kościuszko za wieś w pole i klękał, zwracał twarz w te stronę, gdzie Kraków leży, i modlił się gorąco do Boga!...

Mnie się łzy puściły z oczów z wielkiego rozczulenia i z wielkiej żałości, a i pan wójt westchnął ciężko i podumał z smutkiem, nim dalej opowiadać zaczął.

— I tak widywała go gromada przez ten czas co rano, modlącego się na polu z wzrokiem ku Krakowowi zwróconym... Wtenczas to i ludzie za tym przykładem wzdychali do Boga z serdecznem nabożeństwem i mówili pomiędzy sobą:

— Hej modli się nasz pan naczelnik gorąco i coś ku Krakowowi spogląda, pewnie to niezabawem pohulają nasi z Moskalami!

— Oj i pohulali też co się zowie!... — mówię ja na to.

— A tak — rzecze wójt — prawdę ludzie mówili. Pewnego dnia pan Kościuszko zebrał się nagle w drogę i pożegnał sołtysa. Dowiedzieli się o tem nasi, i zaraz ci też huk ludzi się zbiegło przed chatę sołtysową i żegnali naczelnika i całowali mu kolana. I każdy parobczak a nawet nie jeden młody gospodarz tak przemówił:

— Hej panie ojcze nasz i naczelniku, toć my już wiemy, że to pan naczelnik wybiera się na Moskala, toć i my Polacy, i pójdziemy za naszym naczelnikiem!

— Hej, pójdziemy! pójdziemy! — zawołało kilkunastu od razu.

— Hejże na Moskala! Niech żyje pan Kościuszko, nasz wódz i naczelnik! — huknęło ze sto głosów naraz.

Panu Kościuszce aż się łza w oku zakręciła i mówi:

— Dzięki wam poczciwi ludzie! Hej, hej mocny Boże, gdyby to taki każdy był kmiotek, nie byłoby licha w naszej ojczyźnie!...

A potem pożegnał się z całą gromadą, wsiadł na konia i z jakiemiś dwoma panami ruszył z miejsca. A gromada odprowadziła go hen aż za wieś, a on kiedy już był daleko, jeszcze czapeczką ku ludziom potrząsał!...

A zaraz tego samego dnia znowu kilkunastu chłopaków jurnych wybrało się ze wsi i powędrowało do Krakowa, hen na wojnę, do kosynierów, na Moskala!..

Tu wójt odpoczął sobie trochę i zadumał się, aż ja znowu pytam:

— No i cóż się dalej stało?

— Ha tać to wy wiecie pewno najlepiej — rzecze wójt — była wojna okrutna a pan Kościuszko trzepał Moskali co się zowie.

— Oj co trzepał to trzepał, niema co mówić — rzekę ja na to — najpierw pod Dubienką, a potem gdy w Krakowie wybuchla ruchawka i nasza wiara poszła z Kościuszką na wroga, pod Racławicami, pod Szczekocinami!...

Wójt westchnął i mówi,

— Ha! szło ci tam dobrze zrazu, ale potem to jakoś coraz gorzej było, aż nareszcie przemogli naszych, i sam pan Kościuszko, ciężko raniony dostał się do niewoli!...

— Pożal się Boże, tak to było — rzekę ja — aż się serce kraje o tem wspomnieć! A było to w bitwie pod Maciejowicami, akuratnie tak w jesieni, w Październiku...

— I jakoś od tego czasu — prawił dalej wójt — zginęła wieść o panu naczelniku. Mówiono tylko, że się wydostał z niewoli i że gdzieś przebywa hen w dalekiej obcej ziemi...

— W kraju takim, co jeno góry a góry, a zwie się Szwajcarja — dodałem z mojej strony.

Wójt zaś opowiadał dalej:

— I tak znowu mijały lata, aż tu naraz zachodzi słych gromadę z Krakowa, że tam sypią ogromną mogiłę na wieczną pamiątkę naszego naczelnika Kościuszki. Ów sołtys, u którego przemieszkiwał był pan Kościuszko, jak się o tem dowiedział, to chodził jakiś czas okrutnie zadumany, aż pewnego razu zwołał gromadę całą do siebie i tak do niej przemówił:

— Panowie gromada, czy pamiętacie wy jeszcze, kiedy to pan Kościuszko mieszkał między nami?

A gromada na to:

— A toć chyba by ten miał pniak zamiast głowy a grudę zamiast serca, coby zapomniał o naszym Kościuszku i o tem, że w naszej wsi przez jakąś dobę mieszkał!...

Wtedy sołtys mówił dalej:

— Panowie gromada, a czy słyszeliście, że w Krakowie sypią okrutną mogiłę panu Kościuszce na pamiątkę?

— Słyszeli, słyszeli! — odpowiedzieli ludzie.

— Otóż teraz powiem wam, po co was zwołałem — odezwał się wtedy sołtys. Czy to my gorsi niż Krakowcy, czy my to nie tacy dobrzy Polacy jak i oni? Był między nimi Kościuszko — a toć był i między nami. Sypią mu oni mogiłę — a toć i my mu usypiemy!

— Zgoda! — huknęła cała gromada — sołtys święte słowa mówi! Usypiemy mu mogiłę, na jaką nam stać, niech zostanie synom i wnukom naszym pamiątka, że w Liplesie był Kościuszko, nasz pan naczelnik kochany!

I jak rzekli nasi dziadowie tak zrobili! Kto żył tylko we wsi, wziął się zaraz na drugi dzień do roboty. Na mogiłę obrano to samo miejsce w polu, gdzie to się modlił Kościuszko, patrząc

w stronę od Krakowa. Wyszła tedy cała wieś z księdzem proboszczem i poczęła sypać mogiłę. Ale nie tylko lipleska gromada, lecz i z okolicy ludzie pomagali w tem z ochotą. Otóż tak, mój panie, stanęła ta mogiła, o którą mnie pytaliście...

Tu skończył wójt i zadumał się mocno, a ja także zamyślałem się żałośnie o tej historji... A potem podziękowałem ślicznie wójtowi i żegnając się z nim rzekłem:

— Szanujcież tę starą pamiątkę, bo ona waszej wsi wielki sprawia honor i kochajcie zawsze pamięć Kościuszki i tę Polskę naszą, którą on nad życie swoje miłował!...

I usiadłszy znowu na furmankę ruszyłem dalej w drogę, a kiedym znowu mijać miał mogiłę, tom zlazł z woza, zdjąłem kapelusz i uklękłszy na mogile, ucałowałem z głęboką żałością ziemię... A potem pojechałem dalej i przez całą drogę dumałem o panu Kościuszce, o Racławicach, o kosynierach i o naszej niedoli, a na myśl przychodziła mi ciągle owa piosenka:

Nie przemienieć co minęło, nie wydrzeć z pamięci,
Choćby człowiek rad zapomnieć, wraca mimo chęci!
Tyle czasu przeminęło, mój ty mocny Boże,
Pług zaorał ludzkie kości a serca nie może!

Wojtek ze Smolnicy.

Spiewka pastuszka.

Wysoko słonko pomyka,
Zielone w koło doliny;
A z szmerem cichym strumyka
Zawodzi piosnka ptaszyny...
A ja w sercu lubość mam,
Rozmawiam z stokrótką;
Na fujarce sobie gram,
A ty hulaj trzódko!

Hej wiosno, wiosno jedyna,
Przespiewam ciebie już wkrótce!
Od skwaru zmilknie ptaszyna
I zwiędną listki w stokrótce!
Wtenczas pójdę z trzodką w las
Słuchać drzew rozmowy,

A gdy żniwa przyjdzie czas,
Już mój sierp gotowy!
Lecz skwar powoli ochłódnie,
Liść zżółknie w jesiennej dobie;
Owoc zrumieni się cudnie,
I wabić będzie ku sobie!
A choć zniknie zieleń z niw,
Za to raj w ogrodzie!
Gnie się gałąź grusz i śliw
Ku ludzkiej wygodzie!
Wreszcie nadejdzie i zima
Śnieg spadnie — wicher zawyje,
Trawek, kwiatków już i niema...
Więc ja do chaty się skryję!
Gdy książeczkę dziedzic dał
Czytam, ludzie mili,
Jakich królów kraj nasz miał
I jak wrogów bili!

Gabryś z Urbanowic.

Nagroda.

Powieść.

I.

Kilka mil od granicy węgierskiej, wśród gór karpackich, w cyrkule samborskim, leży wieś Jałowica. Wieś to biedna i mała, zwyczajnie jak to bywa w górach, gdzie niema dobrego pola, jeno gdzie niegdzie połoniny nieurodzajne, na których ledwie owies się urodzi. Toć też i gospodarze w tej wsi nie majętni i ciężko pracować muszą na kawał chleba owsianego.

Mają jednak i w górach swój zarobek osobny. W okolicach tych bowiem hodują owce, i z nich mają jaki taki pożytek i pomoc w życiu. Co zaś jeszcze bardziej wspomaga tych biednych ludzi, to to, że zaraz w początku lata zjeżdżają na wieś ludzie chorzy z miasta, tacy co to słabują na piersi, aby się leczyć żętycą. Ci państwo wynajmują sobie stancje u wieśniaków, zamawiają sobie u nich na całe lato żętycę, dają zarabiać za usługę i posyłki do miasta.

Otóż tak samo było i w tej wsi Jałowicy, o której wspomniałem na samym początku. Już na wiosnę nadchodziły listy ze Lwowa a i z mniejszych miast były zamówienia, i wtedy to każdy gospodarz, co miał tylko jaką taką chałupinę i kilka owiec, przygotowywał jaką izbinę, bielił i czyścił — a ledwie słoneczko letnie przygrzało w górach, już przyjeżdżały rozmaite powozy i bryki, i przywoziły z sobą słabych panów i panie, a tym sposobem prawie każdy gospodarz miał jaki taki, a nawet czasem bardzo piękny zarobek.

Wieś Jałowica więcej miała co roku gości takich, niż każda inna, bo leżała w bardzo ładnem i zdrowem miejscu i w blizkości miasteczka, do której była dobra droga.

Otóż przed dawnym czasem, bo już temu lat przeszło dwadzieścia kilka przyjechała do Jałowicy jakaś chora pani. Widać uboga była bardzo, bo przywlokła się na żętycę nędzną budą żydowską, napełnioną różnymi podróżnymi, miała przy sobie tylko malenki kufereczek, i najęła sobie kącik mizerny w najlichszej chacie, aby ją tylko drogo nie kosztował.

Aż żal brał serdeczny popatrzyć się na tę biedaczkę. Młoda to była kobiecina i musiała z bardzo pańskiego pochodzić rodu, bo to znać zaraz na pierwszy rzut oka po osobie, ale znać niedostatek i bieda mocno ją znękały w życiu.

Była to jeszcze młoda bardzo kobieta, a kiedyś musiała być śliczna jak malowanie, ale teraz oprócz zgryzoty jeszcze i ciężka choroba zniszczyły ją do reszty. Twarz jej była wychudła i blada jak trzaska, a oczy zawsze wyglądały tak smutno, tak smutno... że zdało się człowiekowi, iż z tych oczu nigdy łza nie schodziła, że w nich nigdy radości nie było, jeno zawsze boleść i tęsknica ciężka!..

Chora ta i biedna pani przywiozła z sobą małego synka, chłopczyka jakby cacko jakie, delikatne i wychuchane, a widać było, że go kochała nad wszystko, że ten synek mały był jej całem szczęściem na świecie, że nie żyła już dla siebie, jeno dla tego biednego robaczka!

Jak już o tem powiedziałem, stanęła ta pani w najlichszej chatce na stancyi i zaczęła pić żętycę, bo jej to lekarze naka-

zali na piersi, na które biedaczka ciężko i już prawie bez nadzieji ratunku zaniemogła.

Kto tylko miał poczciwe serce, ten musiał pożałować tę biedną panię, musiał ją i polubić, bo była zawsze taka dobra i grzeczna dla każdego, tak słodko umiała przemówić do ludzi. Kiedy szła z swym synkiem przez sioło, wszyscy kłaniali się jej uprzejmie, a każdy pokiwał smutnie głową i mówił:

— Biedna kobieta, taka dobra a taka uboga, taka młoda a taka chora!...

Już minął miesiąc cały, jak pani ta nieznajoma była w Jałowicy i piła żętycę, ale nie było widać jakoś zmiany na lepsze w jej zdrowiu. Z każdym dniem jeszcze słabła coraz bardziej, wychudła i wybladła jak wapno i ledwie powolnym krokiem mogła pójść na przechadzkę... Widać było wyraźnie, że nie długo się już będzie dręczyć na świecie!...

Tak stały rzeczy, kiedy nieznajoma pani pewnego rana zebrała się i wraz z swoim synkiem poszła do Onufrego Sławeckiego, nauczyciela w Jałowicy. O tym nauczycielu musimy wam tu nieco więcej powiedzieć. Onufry Sławecki był to człowiek bardzo zacny i uczciwy, serce miał jak to mówią złote, bo litowało się nad każdem nieszczęściem bliźniego i otwarte było dla każdego. Onufry był przytem człek rozumny i uczony co się zowie, umiał on więcej, niż na nauczyciela wiejskiego było potrzeba, bo jak mówili o nim, skończył wysokie szkoły, ale że był biedny i szczęście mu na świecie jakoś nie służyło, więc też osiadł w Jałowicy jako nauczyciel i spiewak kościelny, czyli djak, co u Rusinów tyle znaczy co u nas organista. Biedny był ten Onufry, bo to mój miły Boże! wiecie sami najlepiej, jaki to nędzny kawałek chleba mają u nas po wsiach nauczyciele, kilka krajcarów na rok od numeru, kawałek ogrodu, i trochę drzewa na opał! Jeszcze gdzie wieś zamożna i ludna, tam i nauczycielowi lepiej się wiedzie, ale w takiej ubogiej wsi, jak Jałowica, biedować on musi jeszcze więcej niż gdzie indziej.

Ale choć był biedny ten Onufry, choć mu samemn nie zawsze starczyło na życie, to przecież dzielił się i tem z biedniejszym, co miał, a gdy mu kto do serca przemówił, byłby i ostatnią

koszulę zdjął z grzbietu, ostatni kawałek chleba odjął sobie od gęby, aby tylko spełnić dobry uczynek.

Otóż taki to był człowiek ten nauczyciel, do którego wybrała się pewnego rana, jak już w górze wyczytaliście, owa nieznajoma chora pani z swym synkiem. Gdy Onufry zobaczył przez okno panię, wybiegł naprzeciw, powitał ją grzecznie i wprowadziwszy do izby, prosił aby usiadła.

Pani usiadła na stołku, westchnęła ciężko i tak przemówiła do Onufrego:

— Mój drogi panie! Słyszałam o panu od ludzi, że jesteś rozumnym, a co więcej dobrym i zacnym człowiekiem, który zawsze litościwe ma serce dla biednych i nieszczęśliwych...

Poczciwy Onufry aż się zaczerwienił, bo się zawstydził na taką pochwałę i jeno się ukłonił w milczeniu, jakby dziękował za dobre słowo.

Tymczasem pani ciągnęła tak dalej mowę:

— Dlatego też i ja przyszłam do pana, bo i ja biedna i nieszczęśliwa... Bóg mi zabrał męża i nawidził mnie ciężką chorobą, a jedyną pociechą moją jest ten syn mały, Karolek, który niezadługo także zostanie sierotą...

Onufremu aż łzy się pokazały w oczach, tak mu się markotno zrobiło na to gadanie i mówi:

— Ej niech też pani tak nie gada, bo to się nie godzi. Bóg łaskaw, nie opuści on tych, co jego opieki potrzebują...

— Wiem o tem, ale wola to pono Boska, abym ciężką niedolę znosiła na świecie. Wiem dobrze, że nie długo pożyję, bom chora na suchoty, a lekarze już rady dla mnie nie mają. Za rok, dwa; przyjdzie mi rozstać się z światem, a moje dziecko, mój Karolek zostanie sierotą nieszczęśliwą...

Tu biedna chora pani rozpłakała się rzewnie, i poczęła całować małego Karolka, a poczciwemu Onufremu mało serce nie pękło z żalu.

— Chciałabym mego Karolka oddać do szkoły, do wyższej klasy -- mówiła dalej pani utuliwszy się w płaczu — bom go już sama poduczyła. Gdy powrócę do miasta będzie zdawał egzamin. Teraz jednak jestem mocno chora i uczyć go nie mogę.

Prosiłabym więc pana, czybyś nie był tak łaskaw uczyć go przez ten czas, dopóki tu jeszcze zostanę?...

— Łaskawa pani! czemużby nie — odpowiedział ochotnie Onufry — z największą chęcią to zrobię...

— Ale na tem nie koniec! — rzekła pani i westchnęła — ja jestem biedna i niemam z czego zapłacić!...

— O pani! ja nie żądam niczego, jabym i nie przyjął — zawołał Onufry. Najchętniej będę uczył Karolka, a o zapłacie niech mi pani nie wspomina!...

— O niech wam to Bóg wynagrodzi! — zawołała biedna matka, i pożegnawszy profesora wyszła pocieszona.

Odtąd mały Karolek biegał zawsze na naukę do Onufrego. Był to chłopaczek pilny i mądry, bystry jak strumień, a dobry jak aniołek. Polubił on starego Onufrego jak ojca, a Onufry jego nawzajem pokochał serdecznie. Onufry był wdowcem, ale miał córkę jedynaczkę, młodszą o parę latek od Karolka, miłą dziewczynkę gdyby jagódka. Chora, biedna pani przychodziła często do chaty Onufrego, przysłuchiwała się, jak się jej synek uczy, a potem patrzała się, jak Karolek z Zosią, bo tak się zwała córka profesora, hulał i bawił się po podwórku. Wtedy biedna matka, zamiast się cieszyć pilnością i wesołością syna, wzdychała jeno i łzy ocierała z zapłakanych oczu. Nieboga jakby przeczuwała, że niezadługo rozstać się jej przyjdzie z dzieckiem.

I dobrze przeczuła... Nastały jakoś dnie słotne, a niepogoda zawsze najgorsza dla tych, co na piersi słabują, i owa nieznajoma pani zaniemogła bardzo i już się z łożka zwlec nie mogła. Dopiero teraz się pokazało, jaka to uboga była kobieta, nie było za co posłać po lekarza, nie było za co kupić lekarstwa. Poczciwego Onufrego zabolało serce, wypędził do miasta jałówkę, co ją chciał zatrzymać na dochowek, i choć samemu suchego chleba nieraz brakło, poszedł i sprowadził do chorej doktora, zapłacił lekarstwa, zakupił co było dla niej koniecznie potrzeba, i tak ratował ją, czem tylko mógł.

Ale snać nie było już ratunku dla niebogi. Pewnej nocy przybiegł Karolek do chaty Onufrego i zbudził go i z płaczem opowiedział, że matka jego ciężko, bardzo ciężko chora, i już

nic nie mówi. Onufry wysłał zaraz na swój własny koszt do miasta po doktora, ale chorej nie potrzeba już było lekarstwa dla ciała, ale chyba dla duszy.

Gdy przyszedł z księdzem proboszczem do chorej, zastał ją na konaniu, a mały Karolek klęczał przy łóżku, i całował ze łzami rękę swej matki. Ksiądz udzielił chorej sakrament ostatniego pomazania, a gdy wyszedł, Onufry został jeszcze przy chorej i pocieszał jej syna.

Wtedy chora pani otworzyła na chwilę oczy, popatrzyła na syna i potem na Onufrego proszącem okiem i wskazała na kartkę zapisanego papieru i na mały pakiecik, co leżał koło niej na stole. Potem położyła rękę na głowie swego dziecka, jakby go pobłogosławić chciała i oddała ducha Bogu.

Onufry wziął syna do swej chaty i zostawił go tam z Zosią, a sam zatrudnił się zaraz pogrzebem. Nieboszczka nic nie zostawiła, więc też Onufry jak mógł opłacił koszta pogrzebu, i tak pochowano trzeciego dnia biedną panię.

Na owej zaś karteczce, którą zostawiła nieboszczka, była prośba do Onufrego, aby wziął na wychowanie syna, a Bóg mu to nagrodzi swem błogosławieństwem, bo to sierota nieszczęśliwa. Onufry przeczytał tę kartkę, westchnął i rzekł:

— Ha! prawdę napisała nieboszczka, Bóg mi to wynagrodzi' Biedny ja wprawdzie sam bardzo, ale tym skąpym kawałkiem chleba, co go mam, podzielę się z sierotą! Kto sierocie co dobrego czyni, to tak jakby samemu Jezusowi czynił.

Potem rozwiązał paczkę z papierami i znalazł tam metrykę Karolka i inne papiery, z których się dowiedział, że nieboszczka nazywała się Żalicka i że była wdową po jakimś biednym urzędniku. I ot, poco tu długo rozpowiadać, Onufry zajął się sierotą, jak synem własnym, poduczył go w szkole, a gdy chłopczyna już umiał dużo, ściągnął się do reszty i wywiózł go do miasta do szkół wyższych. Tam znalazł swego dawnego przyjaciela profesora, który zrobił dla Onufrego, że wziął Karolka daremnie na stancję, i obiecał dać mu wyżywienie, jeno aby Onufry przysłał mu na odzież i książki.

Co się stało dalej i jak się cała ta historja skończyła, opowiemy wam na drugi raz.

Rady gospodarskie.

Jako źle jest trzymać bydła za dużo.

Jeżeli gospodarzowi zachoruje jakie bydlę, zaraz szuka pomocy, to u konowała, lub owczarza, kowala i stara się o lekarstwo. Wie on, co ma czynić w takim razie, mimo to, że choroba pokazuje się między inwentarzem nie bardzo często. Daleko szkodliwszym nieprzyjacielem jest i w swych skutkach może być dla gospodarza ten, którego on nie zna, albo znać nie chce, a ztąd nie będzie też szukał pomocy przeciw niemu.

Głównym nieprzyjacielem jest powietrze dla głodnego inwentarza. Błoga jest jego siła, jeżeli gospodarz da mu przystęp zimową porą do obory, lecz o tyle tylko, o ile swe ożywiające skutki sprawia. Brak jego i zbytek równie są szkodliwe. Ztąd wypada napominać gospodarzy, aby się usilnie starali o odpowiedni przystęp powietrza do obory. To wtenczas dopełni każdy, jak będzie regularnie i codziennie obory, chlewy i stajnie przewietrzał i inwentarz obficie pasł pożywną paszą. Bydło nie powinno w ciemnej i smrodliwej, lub zaduchłej oborze i bez dostatecznej ściółki być utrzymywane; gdyż ochędóstwo i świeże powietrze nadaje bydlęciu czerstwość i łatwe trawienie pożywanej paszy. Chociaż podobne napomnienie wielokrotnie różni uczeni i doświadczeni gospodarze przypominali, przecież dotąd nie wszędzie je wykonano, bo ciężko przełamać złe przyzwyczajenie.

Ilu to jest takich gospodarzy, którzy choćby połowę pozbyli z tego inwentarza, który mają, jeszcze go zanadto będą mieli bo do tego jeszcze nie przyszli, żeby z kredką w ręku obrachowali, ile jedna sztuka inwentarza potrzebuje paszy przez zimę, aby wydała pożytek. Dlatego mój przyjacielu, zrób na sobie samym doświadczenie: Usiądź na wagę, zważ swoją osobę n. p. dzisiaj i w tym samym dniu zrób to samo po upłynionym roku, tedy przekonasz się, że może ani kilku łutów nie będziesz więcej ważył, chociaż przez ten cały rok zjadłeś przeszło pięć set funtów stałych potraw. Otóż ten posiłek służył ci do utrzy-

mania twego własnego życia. Tak samo i zwierzę potrzebuje paszy pewną ilość do utrzymania życia. Z takiego żywienia inwentarza nie masz żadnego innego pożytku, prócz lichego gnoju. Jeżeli bydlę i tyle nie dostanie paszy, aby mogło żyć, tedy spożywa się samo, t. j. niknie w niem: tłuszcz, mięso i inne części, czyli chudnie, a tego długo wytrzymać nie może. Jeżeli bydlę dostanie więcej paszy, niż potrzebuje do życia, wtenczas dopiero z tego obfitszego pokarmu powstaje: mięso, a u tuczonych tłuszcz, u krów mleko, u roboczego bydła moc i krzepkość, u owiec wełna. Z takiego więc tylko żywienia może się gospodarz spodziewać pożytku.

Oględny gospodarz i o tem nie powinien zapominać, że nie dosyć, iż każe obficie paść inwentarz, żeby miał pożytek, lecz gatunek paszy i wartość jej oznaczyć trzeba, mięszając ją, bo pojedyńczo spasane n. p. sama słoma lub siano, ziemniaki lub ćwikła, albo ziarno, to nie wyda tego pożytku, któregoby się spodziewano. Bydłu trzeba zimą ułatwiać trawienie: albo gotowaniem, lub parzeniem, zagrzaniem, kiszeniem, albo gnieceniem, lub śrótowaniem ziarna, przez co podwyższa się wartość paszy.

Niektórzy myślą sobie, gdy zimą widzą swoje bydło coraz nędzniejsze i chudsze, ej co tam! toć na wiosnę wszystko będzie dobrze, bo na świeżej trawie, to się wygoi. Można im odpowiedzieć, że co zima zmarnuje, tego ani wiosna ani lato zupełnie nie wygoi. Przeciwnie powinien gospodarz myśleć, że im lepsze bydło pójdzie na wiosnę na pastwisko, tem więcej wyda mu pożytku, szczególniej krowy, wynagrodzą go sowicie codzień obfitszem mlekiem. Bydło dobrze karmione, wyda też wiele wybornego gnoju.

Niechże każdy gospodarz obrachuje swoją paszę i swój inwentarz i tylko tyle trzyma, ile dobrze wyżywić potrafi; a kto tego głosu usłucha, nie będzie miał na wiosnę zmartwienia, jak ci, którzy dobrej rady słuchać nie chcą a którzy będą swoje wyniszczone i zgłodniałe bydło dźwigali, bo samo nie będzie mogło wstać ani chodzić, jak to rok rocznie u niektórych gospodarzy bywa.

RÓŻNOŚCI.

Dziwny wypadek stał się na Wołyniu, pod rządem rosyjskim: Udał się był jeden zamożny obywatel ze swojej wsi do sąsiedniej, w jakiejś sprawie gospodarczej, i wziął ze sobą swojego arędarza. Ponieważ było bardzo gorąco, kazał się zatrzymać przy studni, i wysiadł z arędarzem dla napicia się wody. Kiedy się nachylił nad wiadrem z wodą, wypadł mu pugilares, w którym było 12 tysięcy rubli, z kieszeni, tak że o tem nie wiedział. I dopiero, gdy zawrócił dla czegoś zapomnianego do domu, tam sięgnąwszy do kieszeni, spostrzegł, że pugilares zgubiony. Naturalnie, domyślił się, że nie gdzieindziej, tylko przy studni mógł go zgubić. Posełał przeto natychmiast woźnicę swego na to miejsce z arędarzem; obszukali wszędy, ale napróżno. A ponieważ niedaleko studni była karczma, poszedł więc arędarz do karczmarza tamże, i opowiedział wszystko. W tej chwili jakiś biednie ubrany żydek wstaje z ławy, i oddaje szukany pugilares, mówiąc, że on go znalazł. Arędarz uradowany, pobiegł co tchu oddać panu pugilares. Pan kazał zaraz zawołać tego biednego żyda, a widząc jego biedę, dał mu znaleźnego 400 rubli, i swoją suknię na ubranie; a gdy się dowiedział, że ten biedny żyd ma wydawać córkę za mąż, kazał go odwieźć do jego miasteczka arędarzowi, i kazał wszystkie koszta na wesele zapłacić. W drodze przychodzi arędarzowi taka szatańska myśl i łakomstwo, aby tego biednego żyda zamordować, i pieniądze odebrać. No i wykonał ten okrutny zamysł, żyda zabił, zakopał go w ziemię, a pieniądze zabrał; a wróciwszy do pana, kazał sobie jeszcze zapłacić, za wydatki, niby na wesele żydówki ubogiej.

Na drugi dzień potem, pan ten poszedł sobie na polowanie; patrzy pies ciągle ujada w jednem miejscu i coś odgrzebuje; zbliża się pan, a tu suknia ludzka, każe odkopać, i widzi, że ten sam żydek co mu znalazł pieniądze, zabity. Podejrzenie padło zaraz na tego arędarza, i przyznał się też niedługo do tej zbrodni, za co od rządu rosyjskiego został z całą rodziną na Sybir wysłany, a majątek jego cały poszedł na rodzinę tego biednego zabitego żyda.

Pamiątka po dziedzicu. Hrabia Leon Rzewuski przedał swoje dobra Podhorce i Zahorce, a aby zostawić po sobie pamiątkę gromadom zapisał im 10.000 złr. Z tych pieniędzy pójdą coroczne procenta na pożyczkę, zapomogę, na lekarstwa i inne potrzeby wieśniaków. Piękna to pamiątka! Toż to po takim dziedzicu jest czego i żałować!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.